

Nauczyciel – nieudacznik, czy skarb?

24 lutego 2019

Wieści z oświatowego frontu nie są najlepsze. Tytuły głośzą, że dzieci uczą się fizyki w szatni, a religii w klasie. Najwyższa Izba Kontroli proponuje zniesienie obowiązkowej matury z matematyki. Powody są bardzo poważne, nauka matematyki idzie polskim dzieciom kiepsko, a to obniża średnią, bywa powodem powtarzania roku, powoduje gorsze wyniki matur.



„Badania kwestionariuszowe przeprowadzone przez NIK w ponad 9 tys. szkół potwierdzają niskie efekty kształcenia matematyki. Aż 46 proc. uczniów tych szkół kończy je z zaledwie oceną dopuszczającą, czyli 2.” – podaje NIK.

Chyba trzeba się poddać i przestać dręczyć biedne dzieci.

Nauczyciele zapowiadają ogólnopolski strajk. Jak można wnioskować z licznych artykułów, bitwa toczy się o warunki płacowe. Dziennikarka „Gazety Wyborczej” stawia interesujące pytanie: „Nieudacznik czy skarb narodu? Kim jest polski nauczyciel i dlaczego oszczędzamy na wykształceniu naszych dzieci?”.

Znajomy nauczyciel pisze mi, że podjął decyzję i rezygnuje z zawodu, że marzył o uczeniu, lubi uczyć, ale nie wynajmował się na stójkowego. Jeden wredny uczeń rozwała możliwości nauki całej klasy, trzech odbiera chęć chodzenia do pracy.

To trzecia podobna opowieść w stosunkowo krótkim czasie. Przypomina mi się załamanie szwedzkiego systemu oświaty w początkach lat 80. ubiegłego wieku. Zwolnienia lekarskie z powodu stresu, masowa ucieczka od zawodu, który przez dziesięciolecia cieszył się w Szwecji najwyższym prestiżem. Powód tej zmiany nie był żadnym sekretem – nowa pedagogika bez dyscypliny, zwolnienie rodziców z wszelkiej odpowiedzialności za zachowanie dziecka w szkole, brak jakichkolwiek sankcji. Nie tylko wobec uczniów, którzy nie chcą się uczyć i przeszkadzają w tym innym, ale również w przypadkach agresji, wandalizmu, a czasem i bandytyzmu (tak wobec innych uczniów, jak i wobec nauczycieli).

W Quillette pojawił się obszerny artykuł byłej amerykańskiej nauczycielki. Mary Hudson pracowała w trzech szkołach publicznych w Nowym Jorku i podkreśla, że większość nauczycieli, z którymi pracowała, to byli ludzie, którzy świadomie wybrali swój zawód, chcieli uczyć, ale system im to skutecznie uniemożliwił. Jak pisze, nikt tego głośno nie mówił, ale wszyscy wiedzieli, że jedyna rzecz, której od nauczycieli szkół publicznych się oczekuje, to umiejętności utrzymania uczniów w ławkach i pilnowania, żeby odgłosy dochodzące z klasy nie były zbyt głośne. W pięciopiętrowym budynku na korytarzach byli uzbrojeni strażnicy, uczniowie przechodzili przez bramki wykrywające metal (a mimo tych środków, przy uczniach czasem znajdowano noże). Dziewczyny były często znacznie bardziej agresywne od chłopców. Mary Hudson szybko przekonała się, że jej wszystkie wysiłki, żeby czegoś te dzieci nauczyć, są skazane na niepowodzenie. Dzieci, które chciały się uczyć, były terroryzowane przez uczniów, którzy uważali, że szkoła jest wyłącznie miejscem spotkań. Ignorowanie nauczycieli było normą, popchnięcie czy uderzenie

nauczyciela nie było niczym nadzwyczajnym. Próba podzielenia klasy na tych, którzy wykazują jakieś zainteresowanie nauką, i tych, którzy nie wykazują najmniejszych skłonności do kooperacji, skończyła się naganą i informacją, że jest to wbrew przepisom.

Dyrekcja dawno zrezygnowała z idei, że szkoła ma czegoś nauczyć przynajmniej tych, którzy mogliby tego chcieć. Nauczycieli wysyłano na kursy jak radzić sobie ze stresem i jak akceptować niekończące się chamstwo i agresję ze strony uczniów. Dokumentowanie tych aktów agresji, spotkania z rodzicami, psychologami i przedstawicielami związku zawodowego, nieodmiennie kończyły się przegraną nauczyciela i triumfem ucznia.

Autorka pisze, że lepsi uczniowie kończyli dwunastą klasę z wiedzą na poziomie siódmej klasy, a wiedza pozostałych była znacznie skromniejsza. Najmłodsze klasy miały lepsze rezultaty, ale z chwilą, kiedy dzieciaki zaczęły docierać do wieku dojrzewania, szkołę przejmowała przeniesiona z getta kultura gangsterska. Ponieważ dominowały dzieci z dzielnicy czarnych, więc ten bunt miał otoczkę ideologiczną, sprzeciwu wobec „białego” systemu. Przekonywanie, że ich przyszłe życie w dużym stopniu zależy od ich nauki w szkole, kwitowane było w najlepszym przypadku wzruszeniem ramion. Częściej stwierdzeniem, że i tak dostaną się do szkół wyższych, bo są czarni.

Kolejna szkoła należała do najlepszych w Nowym Jorku. Tu uczniowie przechodzili wstępne testy, problemy z uniemożliwiającymi uczenie uczniami były o niebo mniejsze. Ciekawe, bo szkoła była zdominowana przez dzieci stosunkowo niedawno przybyłych imigrantów z Azji, Ameryki łacińskiej i Europy Wschodniej. Swoje braki wiedzy uczniowie nadrabiali pracowitością. Tu największym problemem okazała się biurokracja, wieczne oczekiwanie tasiemcowych sprawozdań i niezdolność zrozumienia nadzorujących szkoły urzędników, że nauka w szkole wymaga elastyczności, dostosowania się do

możliwości i zainteresowań dzieci, że nie może być wciskana w sztywne, jednolite formuły. To jednak były zupełnie inne problemy. Po kilku latach okazało się, że spadło zainteresowanie młodzieży nauką francuskiego i jej etat został zlikwidowany.

Kolejna szkoła, z dobrą opinią, szczycąca się dotacją od Billa Gatesa, prowadzona była pod hasłem łączenia młodzieży z rodzin z klasy średniej z młodzieżą z getta. Podczas rozmowy wstępnej autorka dowiaduje się, że jest to szkoła, w której dzieci chodzą w mundurkach, jest zakaz używania telefonów komórkowych, klasy są małe i nie ma problemów z dyscypliną. Dopiero później uświadomiła sobie, że nie zwróciła uwagi na bramki do wykrywania metalu. Tu panowała ideologia, że należy być za pan brat z uczniami, że powinniśmy po prostu zaakceptować ich kulturę.

W efekcie uczniowie, byli albo w klasie, albo poza klasą, albo wykonywali polecenia, albo nie. Podczas próbnego testu, kiedy otrzymali arkusze z matematyki, po prostu odmówili ich wypełniania, wyjaśniając, że to za trudne. W ciągu jednego roku 10 z 90 dziewcząt zaszło w ciążę. Ostatecznie postanowiła zakończyć karierę nauczycielską po ataku jednego z uczniów.

W podsumowaniu tej długiej opowieści Mary Hudson pisze, że tragicznie złe efekty nauczania to nie jest efekt braku pieniędzy na oświatę najbardziej wykluczonych. Prawdziwym problemem jest kultura niechęci do szkoły i wrogości wobec nauczycieli, kultura, której władze nigdy nie chciały zauważyć. Dlaczego miliony normalnych nastolatków (niekoniecznie z patologicznych rodzin), po prostu nie chce się uczyć? Powodem jest to, że się od nich mniej oczekuje. Władze oświatowe ukrywają swoją niekompetencję, a kiedy efektów nie daje się ukryć, zrzucają winę na nauczycieli i rodziców. Media również odwracają oczy od rzeczywistych problemów. Dlaczego tak się dzieje? Ze względu na lęk przed zakwestionowaniem ideologicznej ortodoksji. Powiedzenie, że uczniowie, którzy uniemożliwiają innym uczniom naukę, powinni

być usunięci z klas, nie po to, żeby ich ukarać, ale żeby umożliwić pozostałym zdobycie wiedzy, jest bluźnierstwem zazwyczaj kończącym nauczycielską karierę.

Problemy opisywane przez amerykańską (byłą już) nauczycielkę dotyczą nie tylko szkół z trudnych dzielnic i nie tylko szkół amerykańskich. Coś złego zaczęło się dziać kilka dziesiątków lat temu. Kilkanaście lat temu Finowie doszli do wniosku, że coś trzeba zrobić i wprowadzili wysokie kary finansowe za wandalizm w szkołach. Najwyraźniej doszli do wniosku, że pedagogika nieustającej słodyczy może mieć swoje ujemne strony i zakończyć się katastrofą.

W Szwecji miałem wrażenie, że ta pedagogika jest w dużej mierze efektem przejęcia wydziałów humanistycznych (w tym pedagogiki) przez profesurę, która dzieliła się na maoistowską i trockistowską. Głoszono piękne hasła o pedagogice bez obowiązków i bez sankcji. Nauczanie coraz częściej zastępowały umizgi wobec studentów, (pod warunkiem, że studenci chcieli wejść w rolę awangardy proletariatu). Byliśmy świadkami pełzającej rewolucji kulturalnej, która z roku na rok otwierała trochę szerzej drzwi dla dyktatury chaosu.

Nie pytajmy, czy nauczyciel jest nieudacznikiem, czy skarbem, być może stworzyliśmy system, w którym i nauczyciele, i uczniowie mają coraz mniejsze szanse. Ucieczka części uczniów z zamożniejszych rodzin do szkół prywatnych, społecznych czy wyznaniowych nie uratuje naszej państwowej oświaty i nie da nam szans konkurencji w świecie, w którym gospodarka jest oparta na wiedzy.

Pani minister Zalewska doprowadziła polskie szkolnictwo do tak głębokiego kryzysu, że możemy nie zauważyć, że część tego kryzysu jest znacznie starsza i że jest to problem ideologii oświaty zachodniej cywilizacji. Bez uświadomienia sobie, co się stało, będziemy coraz częściej przegrywać z tymi, którzy uważają, że szkoła jest miejscem, gdzie młode pokolenie ma zdobywać wiedzę.

Autorstwo: Andrzej Koraszewski

Zdjęcie: [Polska Zielona Sieć](#)

Źródło: [StudioOpinii.pl](#)